

JULIAN TUWIM

SIODMA JESIEŃ

IGNIS

JULJAN TUWIM

SIÓDMA JESIEŃ

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS"
WARSZAWA 1922

OKŁADKĘ RYSOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
ODBITO TRZY TYSIĄCE DWIEŚCIE EGZ. NA
PAPIERZE BEZDRZEWNYM, ORAZ SZEŚĆ
EGZ. NA PAPIERZE CZERPANYM
W DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE



SIÓDMA JESIEŃ

JULJANA TUWIMA:

CZYHANIE NA BOGA — WYDANIE III
SOKRATES TAŃCZĄCY „ II
LIRYKA ROSYJSKA (BALMONT I BRIUSOW)

Niema ziemi i nieba, otchłani i piekła
Jest tylko Beatrycze...

Jan Lechoń

Oddać ci wszystko: każdy sen i drgnienie,
Każdy nerw ciała, każdy ruch i krok!
Przeszłość — to tylko o tobie wspomnienie,
Przyszłość — to tylko twój najświętszy wzrok!

Oddać ci wszystko: każde pulsu tętno
I grosz ostatni i ostatek sił,
Trwonić dla ciebie swą młodość namiętną,
Znaczyć ci drogę — krwią serdeczną z żył!

Zaprzeć się! Bluźnić! Z Judaszem paktować,
Żwir na twej drodze w miękki piasek gryźć,
Natchnioną wiarą zakrzyczeć: „Ach, prowadź!",
Gdy mi na własną każesz zgubę iść!

A potem — oddać ci ostatnie tchnienie,
Skonać spokojnie, wiernie u twych nóg,
I, wstecz spojrzawszy, wierzyć niewzruszenie,
Że tak — za Ciebie-m tylko umrzeć mógł.

Miałem słoneczny gościniec
I biały, cudny dom...
Smutno jest sercu mojemu,
Smutno jest moim snom...

I było okno w mym domu
Za dawnych, dobrych lat,
Patrzałem sobie, patrzałem
W daleki, cichy świat...

Może tam byłem dzień jeden,
A może cały wiek...
Wiem tylko, że kiedyś rano
Bieluchny opadł śnieg.

I śnieżnie, biało, dziecinnie
W słońcu się śmiał mój dom!
Smutno jest sercu mojemu
I dawnym, białym snom...

Uderzył wieczór złoty
W czarowne okien szyby,
Coś mi się dziwnie marzy:
— A gdyby? a gdyby?

Coś było... Wieś zielona,
Sad, ławka pod modrzewiem...
Ach, gdybym dzisiaj wiedział!
— Lecz nie wiem... lecz nie wiem...

A czy to zmierzchem było?
Tak... jakoś o wieczorze...
A jeśli — —? nie... bo przecież...
— A może... a może...

A jeżeli nie? A jeżeli nie?
Trułem ja się myślą złudną,
Tobą jasną, tobą cudną,
I zatruty śnię:
A jeżeli nie?
No to... trudno.

A jeżeli coś? A jeżeli tak?
Rozgołębią mi się zorze,
Ogniem cały świat zagorze,
Jak czerwony mak,
Bo jeżeli tak,
No to... — Boże!!

Moje życie miało imię dziewczęce,
Imię jasne, jak konwalje pierwsze,
Rwane w trawie błyszczącej o świcie
Przez lilijne szopenowe ręce.

Tem imieniem, promieniami tkanem,
Lśniące liście leśne szeleściły,
Bzy majowe, zroszone perliście,
Tem imieniem pachniały kochanem...

A gdy niebo zwolna wieczorniało,
Gdy przez wyże wiała cisza polna,
W ciepłym wiewie i w jaskółczym świrze,
W każdem drzewie to imię szumiało.

...W opalowym mgieł zmierzchowych dymie
Coś rozwiało się obłokiem zwiewnym,
Smętkiem rzewnym duszę rozśpiewało:
Jakże było memu życiu na imię?

Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym odrazu,
Osiadłbym jesienią w Kutnie lub Sieradzu.

W Kutnie lub Sieradzu, Rawie lub Łęczycy,
W parterowym domku, przy cichej ulicy.

Byłoby tam ciepło, ciasno, ale miło,
Dużoby się spało, częstoby się piło.

Tam koguty rankiem na opłotkach pieją,
Tam sąsiedzi dobrzy tyją i głupieją.

Poszedłbym do karczmy, usiadłbym w kąciku,
Po tem, co nie wróci, popłakał po cichu.

Pogadałbym z Tobą przy ampułce wina:
„No i cóż, kochana? Cóż, moja jedyna?

Żal ci zabaw, gwaru, tęskno do stolicy?
Nudzisz się tu pewno w Kutnie lub Łęczycy?"

Nicbyś nie odrzekła, nic, moja kochana,
Słuchałabyś wichru w kominie do rana...

I dumała długo w lęku i tęsknicy:
— Czego on tu szuka w Kutnie lub Łęczycy?

Taki to już los mój będzie,
Takie to już miłowanie:
Przywitanie, pożegnanie,
Pożegnanie, wspominanie...
Oczy twoje widzę wszędzie,
Oczy twoje mnie całują,
Z dali, z dali mnie miłują,
Z dali, z dali mnie żałują,
Nie przychodzą na wzywanie,
Jeno błyszczą, jak w legendzie,
W dali, w dali, zewsząd, wszędzie,
— Taki to już los mój będzie,
Takie to już miłowanie:
Przywitanie... pożegnanie...
— — — — — — — —

Już mi jest wszystko jedno,
Czy powiesz „nie“ czy „tak“,
Jeno mi Ciebie bardzo brak,
Jeno mi Ciebie strasznie brak!
...Żal gnębi duszę mą biedną.

Ach przyznam Ci się, — muszę! —
Że wolę „nie“ niż „tak“!...
Ale mi Ciebie bardzo brak,
Ale mi Ciebie strasznie brak!!
...Żal gnębi biedną mą duszę.

A w serce coraz głębiej
Wpija się rdzawy hak —
I tak mi Ciebie bardzo brak!!
I tak mi Ciebie strasznie brak!!!
...Żal biedną duszę mą gnębi.

Wyratuj ty mnie z męki,
Wyratuj z grzechu mego,
Już słów mi brak dla Ciebie,
Już spojrzeń brak i żalów,
Już noc się we mnie mroczy,
Wyratuj ty mnie z męki,
Wyratuj z grzechu mego,
Już wypłakałem oczy,
Już powiedziałem wszystko:
Z szaleństwa i z udręki,
Jak pies, błagalnie szlocham,
Z tęsknoty mej i męki
Rozpaczą ciebie kocham,
Boleścią ciebie kocham,
Uratuj ty mnie z męki,
Grzechem już jestem, grzechem
I krwią i zbrodnią tajną,
Męką ty jesteś moją,
A byłaś mi uśmiechem

I gwiazdą i konwalją,
Grzechem na ciebie patrzę,
Oczy się ciebie boją,
Bo jesteś męką moją,
A jam cię chciał wypłakać
Przez tysiąc długich nocy,
Ale minęły noce
Płakane, nieprzespane,
I cóż mi pozostało?
Łzy straszne, jak sieroce,
I żale i niemoce
I nic i nic prócz tego,
Prócz krzyku i udręki,
— Wyratuj ty mnie z męki,
Wyratuj ty mnie z męki
I z grzechu, z grzechu mego!

Nie mogę Ci powiedzieć, jaki to żal bezbrzeżny:
Dzień dzisiaj taki biały i taki bardzo śnieżny...

Nie mogę Ci powiedzieć, jak mi
ogromnie smutno!
Ale Ty pewno nie wiesz, co znaczy
słowo „smutno"...

Ach, pewno nie wiesz także, co znaczy
„żal bezbrzeżny"...
To nic... to nic nie znaczy... Dzień taki
cichy, śnieżny...

To takie moje słowa, co Ciebie mi zabrały...
A może i przyniosły...
...Dzień cichy dzisiaj, biały.

Śnieg pada... pada bezgłośnie...
Patrz — — śnieg...
Na duszę dziewczęcą Twoją
Całunem legł...

Bielutko. Cicho. Szczęśliwie.
Śnieg — — patrz...
Bezgłośnie ozwie się w duszy
Serdeczny płacz...

A wtedy zagraj przesmętnie
„Valse triste"...
Śnieg pada... pada... Już kończę
Mój dziwny list.

Zadumy moje ciche, zadumy młodej skroni,
Powiedzcie jej, powiedzcie, że nie pamiętam
o niej...
...Powiedzcie jej, powiedzcie, że bardzo tęsknię
do niej.

Westchnienia me, westchnienia, popłyńcie tam
gdzie ona,
Powiedzcie jej, powiedzcie, że nie wiem już kto
ona...
..Powiedzcie jej, powiedzcie, że serce z żalu
kona.

Niczyj ja jestem na świecie,
Niczyj, jak trawa lub zdrój,
Jam jeno Twój jest i Boży,
Jam Twój.

Jam jeno Twój jest i Boży,
Dzień za dniem podążam w dal,
Jasnemu Bogu spowiadam
Swój żal...

I cicha jest spowiedź moja,
I ciche są moje łzy,
I Bóg mój jest wielką ciszą
I Ty...

Dzień za dniem na Przyjście czekam,
By mówić o żalu znów,
I płynie smutna rozmowa
Bez słów...

Dzień mój się kończy modlitwą,
Wspominam jasnemi sny...
Wspomnienie o moim Bogu —
— To Ty...

Ty trzymasz mnie na ziemi,
Ty wznosisz mnie do nieba,
Tyś jest mi tutaj wszystkiem,
Poco aż tam iść trzeba.

O Tobie wiem jedynie
I tylko Ciebie umiem.
Na świat machnąłem ręką:
I tak nic nie zrozumiem!

Co krok — to nowa droga!
Co myśl — to otchłań wrząca.
Ty jedna odpowiadasz,
Mówiąca czy milcząca.

Krwi słucham twego serca,
Bijącej w białej piersi
I trwam miłością błędną
W tem życiu, pełnem śmierci.

Tylko te chłodne, pogodne,
Przewiewne ranki jesienne,
(Liljowe astry jesienne)
Senne, łagodne,
Gdy w miłem szarem niebie
Wzrok rozczulony tonie:
Te ranki, te są dla Ciebie.
Byś w miękko wysłanym pokoju
Z liściasto-ptasią tapetą,
Blado-błękitna,
W tym właśnie dzisiejszym stroju,
Przez okno patrzała spokojnie
Na miłe niebo jesienne,
A na stoliku w wazonie
Niech będą astry liljowe,
Liljowe astry jesienne.

Wyglądasz zupełnie, jak tajemnicza
nieznajoma z wagonu.
Patrzę — i w myślach trzepoce mi romantyczne
porwanie,
Tyle lat trwa moje słodkie nierozczarowanie,
Tyś moja, — moja do zgonu.

Nie wiem, jak myśleć o tobie — a cóż dopiero
Słowem
Chwycić cię w uścisk (z daleka) w złotej
ulewie czułości!
Tymczasem pokój nawiało ciepłem powietrzem
akacjowem
I, oddychając, śmieję się i płaczę z miłości...

Stoję na balkonie,
Załamałem dłonie
I w kwietniowem niebie
Szary wzrok mój tonie.

Bzy mi zapachniały,
Żale mnie owiały,
Twarz mi ojedwabia
Wiew znieruchomiały.

Zmierzch się wiewem żali,
Żeśmy się rozstali,
Przymkniętemi oczy
Widzę ciebie w dali:

Stoisz na balkonie,
Załamałaś dłonie
I w kwietniowem niebie
Modry wzrok twój tonie.

Wiem... Siadłaś teraz przy oknie
I patrzysz...
Kasztan pożółkły przed Twem oknem stoi
I liście roni... jesienne liście...
Deszcz kropi... kasztan moknie,
Wiem: siadłaś teraz przy oknie,
Jesienią Ci się w dobrych oczach smutki,
Te Twoje smutki: dziwne... przypomniane...
Lecą, lecą z kasztanu liście,
Powiędłe, obłąkane,
Szelestnie naziem się kładą,
Żałobnie... złociście...
— A może świeci słońce?
— — — — — — — — — — —

A ja wiem, że Ty myślisz o mnie,
Bo byłem u Ciebie wczora...
Pamiętasz? Smuciłem się ogromnie,
Bom miał od Ciebie jechać,
(...Cichości, cichości jesienna...)

Bom miał od Ciebie jechać,
Nie patrzeć już w Twe dobre oczy,
Ani do Ciebie się uśmiechać,
(...Cichości... cichości jesienna...)
Uśmiechać się, jak Pani chora,
Co w wielkiej sali kona...
Ja byłem u Ciebie wczora,
Ja wiem...
— A może świeci słońce?

— — — — — — — — — — —

Na ulicy nikogo niema,
Ciche, ciche jest twoje miasteczko,
Tylko lecą z kasztanu liście,
A kasztan moknie, moknie...
Siedzisz, moja miła, przy oknie,
Siedzisz, moja dobra, przy oknie,
Moje jasne, kochane słoneczko,
Moje smutne, nienazwane szczęście!
...W pokoju zegar cyka,
Jak codzień, jak co chwila,
(Lecą, lecą z kasztanu liście...
...Cichości, cichości jesienna...)

Takaś ty już zmęczona,
Senna,
Główka na bok się przechyla,
Łza w oczętach zalśniła — — —
— Ach, o czemżeś się zamyśliła?
— Ach, czemużeś się zasmęciła?
I ja tu taki samy...
Ja też...
Tak się już dobrze znamy,
Tak się już dobrze znamy...
— Wiesz?
— — Lecą z kasztanu liście,
Żałobne, obłąkane,
Naziem się kładą złociście,
A kasztan moknie, moknie,
Siedzisz moja dobra, przy oknie,
Siedzisz, moja miła, przy oknie...
A może świeci słońce?

„Du holde Kunst, in wieviel grauen Stunden"...

(*Pieśń Szuberta*)

A możebyśmy tak, jedyna,
Wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmierzchem złotym
Ta sama cisza trwa wrześniowa...

W tym białym domu, w tym pokoju,
Gdzie cudze meble postawiono,
Musimy skończyć naszą dawną
Rozmowę smutnie nie skończoną.

Do dzisiaj przy okrągłym stole,
Siedzimy martwo, jak zaklęci!
Kto odczaruje nas? Kto wyrwie
Z nieubłaganej niepamięci?

Jeszcze mi ciągle z jasnych oczu
Spływa do warg kropelka słona,

A ty mi nic nie odpowiadasz
I jesz zielone winogrona.

Jeszcze ci wciąż spojrzeniem śpiewam
„Du holde Kunst“... i serce pęka!
I muszę jechać... więc mnie żegnasz,
Lecz nie drży w dłoni mej twa ręka.

I wyjechałem, zostawiłem.
Jak sen, urwała się rozmowa,
Błogosławiłem, przeklinałem:
„Du holde Kunst! Więc tak? Bez słowa?"

Ten biały dom, ten pokój martwy
Do dziś się dziwi, nie rozumie...
Wstawili ludzie cudze meble
I wychodzili stąd w zadumie...

A przecież wszystko — tam zostało!
Nawet ta cisza trwa wrześniowa...
Więc możebyśmy tak, najmilsza,
Wpadli na dzień do Tomaszowa?...

(2) *)

Dni złotych iskierek we krwi, złotych iskierek w oczach.

Wracam ze szkoły po list lila, list pachnący Twoją dalą, list, którego nigdy nie było. Potem, z uśmiechem w mózgu i kropelką Twych perfum na wardze, oddaję się, jak śmierci młodzieńczej, weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku. (O, jakżem blisko był wszystkiego, za czem zmęczone tęsknotą oczy moje biegną teraz na wieczne niezdobycie!). Rytmiczny namiętny szept serca wybija wyraźne chwile: już nie dzieciństwa, jeszcze nie młodości męskiej. Słodka palpitacja, zamieranie rozkochanych słów i krótki nagły płacz, po którym krzywda dyktuje fantastyczne listy. (Wrzucałem je do skrzynki pocztowej tak, jakgdybym naciskał guzik, powodujący eksplozję świata). Potem —

*) Z cyklu „Legenda aurea".

kąt w ciemnym korytarzu i gorące wtulenie mokrej drżącej twarzy w wiszące na haku szare palto uczniowskie: jak rośna gałąź majowego bzu, pieści mnie ta zapłakana, uperfumowana klapa szynelu. Nazajutrz — biegnę ze szkoły, zdyszany, po list lila, list pachnący Twoją dalą, list, którego nigdy nie było.

(3)

Było to wtedy, gdy ranki jesienne szumiały smętnie niedośnionemi snami o przyjeździe i wahały się pomiędzy tajemniczym zapachem Twej sukni i przejmującą melancholją młodziutkiej tęsknoty.

Wciskam się, senny i pełen jeszcze nocy, w kąt, na ostatniej ławce. Hieroglify fanatycznych wierszy w bruljonie, zamazywane wstydliwie.

Miljon jednakowych myśli: gdyby! gdyby! gdyby!

Kilka słów Twoich dawnych, słów kapryśnie-obojętnych, ukrywa (bezsprzecznie!) poematy, dla mnie w głębi dziewczęcego serca tworzone, a przemilczane. Niebacznie przysłany płatek róży (jeszcze go mam!) staje się oczywistym dowodem, że wcałowałaś weń usta

swoje, wcałowałaś tęsknotę za mną. (Wszystko w tajemnicy). Z „serdecznych ukłonów“ na głupiej pocztówce — płyną natychmiast hymny Twojej miłości. (Ostrożnie odklejam markę, pod którą leży skarb: dotknięcie Twych warg). Czczę zabobonnie święte fetysze: szpilkę od włosów, martwy płateczek pachnącego groszku, wizytówkę rumuna (!!...„Mademoiselle! En désirant faire Votre connaissance“ etc... Tiberiu Pauceanu). Fotografja, zatarta od łez i pocałunków, zakrawa na bluźnierczy cud: jest kwitnącą Tobą. Imię Twoje pachnie grzechem i tuberozą, wieści o Tobie tajemniczeją w apokryfy, i coraz groźniej i okrutniej przeczuwam złotą burzę szczęścia pod szeleszczącą w ponury wieczór jesienny aleją lipową...

Były to obłąkane pogańskie dni, kiedy po raz pierwszy duszkiem wypiłem w zamkniętym na klucz pokoju buteleczkę brunatnej wódki i gdy, otrząsnąwszy się mściwie, w uniesieniu rzuciłem czterem ścianom przekleństwo, wyduszone gwałtem z gorejącego gardła.

(5)

Bardzo mnie zadziwił ostry świst lokomotywy, która Cię w dal zabrała. Błyszcząca stalowa lokomotywa zabrała legendę. Dziwy.

To, że Cię niema, że wymyśliłem Cię tylko zamkniętemi oczyma, stało się wkrótce denerwującym pewnikiem.

Denerwującym przez wspomnienia.

Czyhałem na nie chciwie, niewolnik rocznic, cierpiętnik każdego wczoraj, marzyciel jednakowych jutr. Zaczęła się chytra rekonstrukcja wszystkiego, co choćby cieniem cienia Twego było, dziesiątem echem.

Odbudowywałem nieistniejące sytuacje; lotne przemknienia starałem się tyrańsko przeciągać w czasie, utrwalałem to, czego nie było; z fanatyczną zaciekłością powtarzałem kilka nic nie znaczących słów, dziecinniałem w szep-

tanych djalogach z fotografją; pracowicie chwytałem garściami wodę.

W letnie wieczory (— pomyśl! pomyśl! —) szukałem na ulicy białego boa, złotych, modrozłotych oczu. Wierzyłem, że ostatecznie znaleść muszę, gdyż (— Boże! Boże! —) znów wrócić do domu i z kropelką Twych perfum na wardze oddać się znów jeno weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku, jak śmierci młodzieńczej? Znów płacz serdeczny, spazm niepowstrzymany? Znów w beznadziei zasiąść do pisania któregoś tam listu, na który mi listem lila, listem pachnącym Twoją dalą, nie odpowiesz, Legendo, Legendo moja?

Wiedziałem, że znaleść muszę. I znalazłem. Późną nocą na pustej ulicy. Stanąłem.

Jak światło przez szkło, przepłynęłaś przeze mnie: wieczną, prawieczną melodją.

(12)

„Złota legenda". A jak to było?

Wyjechałaś — i zaczęła mi pierzchliwą wizją majaczyć nieprawdopodobna Twoja uroda: pierwszem wzniesieniem oczu po pierwszym pocałunku na roztańczonej wiatrem ulicy; potem — jakimś kołysem, który był Tobą; scherzem, które było Tobą; mną — który byłem Tobą.

Oczy miałem smutne, usta uśmiechnięte sennym uśmiechem trzepocącego w głowie snu-motyla. Lekko było, drżąco i wtedo. I ciepło-niebiesko-wiosennie. Kolońską wodą co rano mocno nacierałem głowę.

A czyś Ty się doprawdy, tam, daleko, tak kołysała sobą, legendując muzyką cudownych ruchów, szopenizując niewysłowionym wzrokiem?

Czyś doprawdy spoglądała stamtąd, zda-

leka, zapłakana, wolno, wolno przechylając głowę w tył, i przymykałaś oczy, myśląc o mnie, idącym do domu po list lila, list pachnący Twoją dalą?

Taką Cię widziałem smutnemi osiemnastoletniemi oczyma. Siedem wiosen przeszyło mi serce od tych pierwszych dni kwietniowych, a te oczy o całą wieczność są już smutniejsze,

Były dnie, które je tam na zawsze rzuciły.

Dziwem pamięci wskrzeszona, mgławisz się, ty Melodjano ze strasznego miasta, pyłem złotej, straconej baśni; żyjesz niemożliwością, z której powstałaś.

I w nią się obrócisz.

Rozciągnęła się nuda nad nami,
Zatroskały się serca okrutnie,
Bo poczuliśmy śmierć nad głowami:
Zaszumiała tak cicho... tak smutnie...

Z ciemnych ulic wracamy do domu
I coś korci nas, w duszach nurtuje;
Nie mówimy o niczem nikomu.
Samo stanie się. Każdy poczuje.

...Siedzą chmurni, stroskani przy świecach,
I my przy nich siadamy w milczeniu,
Nagle... ciarki przebiegną po plecach...!!
Cisza. Każdy utonął w wspomnieniu.

O, powiedzmy choć! O, już nie kryjmy!
O, zapłaczmy głęboko, rozpacznie!
...Później snem biało-śnieżnym zaśnijmy,
Może miłość znów śnić nam się zacznie...

Może serca nam pękną z żałości,
Żeśmy byli tak bardzo szczęśliwi!
Żeśmy żyć nie umieli w miłości!
Może rozpacz nas, rozpacz ożywi!!...

...Ale siedzą stroskani okrutnie,
I my z nimi, i Nuda nad nami...
Zaszumiała nam cicho i smutnie,
Zaszumiała nam Śmierć nad głowami.

Do twej piersi, twej piersi dziewiczej, przytuliłem rozpaloną głowę: bije ci serce, bije, żądza przeze mnie krzyczy, oczy przed tobą kryję. Przytuliłem głowę rozpaloną do twej piersi dziewiczej, okrągłej: krzyk, krzyk, długi, przeciągły, płoną mi usta, płoną, jak ślepiec szukam, szukam, pachniesz tak oszołomnie, chodź, chodź do mnie, młoda, ramionami owiję, ustami na usta wskoczę, bije ci serce, bije, spójrz mi w oczy — spójrz — zgadnę — o, usta w ustach, o serce na sercu, — trwoga! Ratuj! Ratuj! (— chwila —). Coś światem targa, rwie, krzyczy, w konwulsji się wije, spłońmy, spalmy się, ratuj, coś jeszcze żyje!! Ratuj! Bije ci serce, bije... Wargi broczą, broczą purpurowe... Biała, słyszysz? Krzyczy!

— Przytuliłem rozpaloną głowę do twej piersi, twej piersi dziewiczej.

Nie wiesz o tem. A był deszcz
I błądziłem po ulicy
I szukałem i czekałem
W źrącej, okrutnej tęsknicy.

Nie wiesz o tem. Byłem zły.
I poszedłem pić. I piłem:
Wódkę, koniak, wódkę, koniak,
I wesół, och wesół byłem!

Patrzaj: to jest nędzny wiersz,
Ale zły jest, zły i gniewny,
Bo czekałem, bo szukałem
W wieczór jesienny, ulewny...

Uparła się moja tęsknota,
Uparł się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć.

A była słota jesienna,
Słota...
(Litość miej! Wyjdź!)

Pod oknami twojemi chodziłem,
(Rozpaczy kamienna!)
I z żalu wyłem, jak pies!
Bo uparła się moja tęsknota,
Bo uparł się dziki mój żal,
Że muszę ciebie zobaczyć...

Trzeba było się chyba zsobaczyć:
Upokorzyć się prośbą haniebną,
Iść tam do ciebie — prosić!!
Co? Na klęczkach cię błagać,

Wstyd najstraszniejszy znosić!
Tego chcesz?
— Byś mnie pogardą zaczęła smagać,
Dziewko!!
Bym ryczał, skamlał, jak zwierz:
Litość miej!!
A tobie, psiakrew, nieochota!
A tobie w rozpaczy mej
Przeszkadza słota:
Mokro... mgła... chlupot błota!...

...A uparła się moja tęsknota,
A uparła się moja tęsknota!...

Ciemnych irysów dostałem pęk,
Nie wiem od kogo.
Serce me drżący ogarnął lęk,
Ciemnych irysów dostałem pęk
I patrzę na nie z dziecinną trwogą:
„Co też te kwiaty przynieść mi mogą?"
— Lęk.

I list dostałem. Słowa: „Bez słów"
Jeno w nim były.
...Jak tchnienie dawnych najdroższych bzów,
Żal mi przyniosły słowa: „Bez słów"...
Śród wspominania słodkiej bezsiły
Znów mi się oczy twoje przyśniły,
Znów...

Śniło mi się coś dziwnego:
Była aleja długa,
Akacje kwitły
(Białe akacje),
Pachniało.
Było modro... Było biało...
Słoneczna smuga
Po długiej biegła alei,
Był ranek... ranek wczesny,
Był szczęścia sen bezkresny,
Sen szczęścia i nadziei...
Kwitły akacje,
Pachniało,
Było modro... było biało...
Szedłem z oczyma na niebie,
Szedłem — jakgdybym do Ciebie
Szedł w dal...

— — — — — — — —

Nie śniło mi się nic,
Nie śniło mi się nic,
Lecz gdyby mi się śniło,
Toby tak ślicznie było!...
A teraz — żal...

Warto, warto żyć...
Wtedy pachniałaś bzami,
Dziś znów kupiłem flakonik,
Roztarłem kroplę na dłoni
I przeszłość wieje nad nami
Bzami.

Warto, warto żyć.
Mgławo jest za oknami,
Zaraz listonosz zadzwoni,
Ustami przypadam do dłoni,
Całuję cień twojej woni...
Przyjedziesz — będziemy sami,
Jedyni i zakochani,
Chłonąc z czułością perfumy
W miłym uśmiechu intymnej zadumy:

„To my? Ja — i ty?"

Wiesz? Wzdycham... I przez łzy
Powtarzam: warto, warto żyć...

Ty jesteś moją żoną, to we krwi mojej tłucze
Popłochem, szczęściem, strachem, radością
i wyskokiem!
Zamieram i wybucham, triumfem wrę i huczę,
I płynę w dal obłokiem i pędzę w dal potokiem!

I myślę i wspominam i przypominam sobie
I modlę się i płaczę i ludziom ściskam dłonie
I śmieję się do siebie, i nie wiem sam co robię
I ze wzruszeniem mówię: ja z żoną, żona, żonie...

Błękitno-złota moja! Wiosenna i jesienna!
Ty, codzień po raz pierwszy ujrzana i kochana!
Spójrz, proszę, w oczy moje: ta sama moc
niezmienna,
Ta moc, co jeno rzuca w pokorze na kolana!

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:
Siódma jesień — najzłotsza, najsłodsza
Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.

Moja jedna — jedyna — kochana!

Przyszła ciszą — drogą długich cieni,
Naszych cieni od dawnych jesieni,
I wszeptała się w nas, zadumana...

Moja jedna — jedyna — kochana!

Tyś ta sama — o siedem lat młodsza,
Prześwietlona, wypatrzona wzrokiem,
Smętniejącym w życiu z każdym rokie
I stęsknionym tej świętej jesieni,
Co na zawsze się w dusze wpromieni!...

No i przyszła — najsłodsza, najzłotsza,
Przyszła ciszą — drogą naszych cieni...

Jeno patrzeć — a park się rozszumi,
Moja jedna — jedyna — kochana!
Jeno patrzeć — a lata dziecięce,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zaniemówią w nas szczęściem i trwogą
I wzruszeniem nam głos się przytłumi
I ściśniemy po raz pierwszy ręce,
Co już nigdy się żegnać nie mogą!
I znów, drżeniem z przed laty wzruszeni,
Rozwiośnimy się w piewszej jesieni,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zawsze tamta i zawsze ta sama,
Z mojej pierwszej i siódmej jesieni!

Doprawdy, żyję bardzo. Ale ja właściwie
Mam w życiu migotliwem jedną myśl jedynie,
Napiętą, jak cieniutka strzała na cięciwie:
Zmienić się w linję.

Jak na wodzie, nawznak się na życiu położę,
Bez myśli i bez woli promiennie popłynę,
Prosto — prosto — nijako — utonę w przestworze
I w oczach twoich zginę.

Siostro-wiosno! Siostro polna dziewanno!
Chwiejna dziewanno miła,
Wiosno oczu!... jasna panno!...
Ty — świt czerwcowy,
Słoneczny, leśny, rozćwierkany!
Ty — sen, z promieni, konwalji i śnieżnych
gołębi utkany,
Ty — przymknienie oczu i zalew jasnych myśli!
Ty — uśmiech szczęśliwej niewiedzy!
Myśl — Tak — Duch zakwitł —
Słowo ciałem się stało —
Usta mówią Boga —
Płyną nieskończone awemarje —
Słowa im nie poradzą...
Może całować ziemię?
Może matkę?

Najgłębszą głębią ducha, gdzie majestat boży
Ukrył cel ostateczny: wielkie Zrozumienie,
Gdzie doczesność nie trafia, przeciwność nie
trwoży,
A głębia sobą żyje, jak mądre milczenie.

Najgłębszą głębią ducha zrozumiałem życie,
I już się myśli moje złego nie ulękną,
Nie pragnąc cnoty jawnie ani grzechu skrycie
I nie wiedząc, co znaczy brzydota i piękno.

Lecz jeżeli mi w duszy sen zakwita czysty,
Tęskniąc ku pięknu słońca, marmuru i kwiatów,
Doskonałości ładu — idei Artysty —
Ujmującej harmonją świat i świat zaświatów:

Wtedy się Miłość moja na wszechświat rozpływa,
A piękno mistrzów — bożą staje się nauką,
I dusza w zachwyceniu natchnionem przyzywa
Ciebie, Dziewczyno moja, nieśmiertelna Sztuko!

Przyjdziesz nocą. Zostaniesz do rana
I otulisz mnie miękko ramiony.
Ja ci powiem: o, moja nieznana.
Ty mi powiesz: o, mój wytęskniony.

Będziesz moja. Ustami się wpiję
W wargi twoje, od nocnych róż krwawsze,
Obłąkany szał szczęścia przeżyję,
Ale umrze coś we mnie na zawsze.

Zacałuję cię sobą! W pierścieni
Splot drgający zakuję twe ciało,
I uśniemy rozkoszą zmęczeni
I niepomni, że wszystko się stało.

Obudzimy się. Ciężką nienawiść
W głuchych duszach bez słów poczujemy,
Zło nam w oczach zaświeci, jak zawiść,
I jak głaz będzie smutek nasz niemy.

Ale nocą znów przyjdziesz. Do rana
Będziesz słodko mnie tulić ramiony,
Ja ci powiem: o, moja nieznana!
Ty mi powiesz: o, mój wytęskniony.

Jesteś z mężem w Zakopanem,
A ja z Łodzi listy piszę,
Listy czarne, umęczone.

Mąż twój słynny jest poeta,
A ja, śmieszny, chudy chłopak,
Piszę czarne, ciężkie zdania.

Mąż twój świetnie jest ubrany,
Uczesany, wygolony,
I codzień bieliznę zmienia.

A ja, czarny i nerwowy,
Wykrzywione mam obcasy
I zacerowane spodnie.

Mąż twój w jasnym garniturze,
Leżąc w cieniu na fotelu,
Pije zimną limonjadę —

I artykuł długi czyta
O tem, że jest mądry, słynny,
Znakomity i genjalny.

A ja, nędzny i spieczony,
Chodzę czarny w skwarnem mieście,
Ścieram kurz i pot i troskę
Z ostrej twarzy niegolonej.

W domu kładę się gorący
Na kanapę ceratową
I rozmyślam, jak tu zacząć
Sto dwudziesty list do ciebie.

Leżę czarny i zmęczony,
Aż mnie ciężki sen zabija,
A gdy budzę się — jest wieczór
Różowawo-popielaty.

Więc wychodzę, chodzę, chodzę
I wrykuję się w kamienie,
Płaczę, lecz udaję katar
Przed znajomym napotkanym.

A ty z mężem po kolacji
Pijesz wino przy stoliku,
Uwerturę „z Orfeusza“
Gra orkiestra uśmiechnięta.

Wszyscy wam się przyglądają,
Podziwiają twą urodę,
O talencie twego męża
Szepcą z wielką rewerencją.

Mąż twój, rzewnie podchmielony,
Mówi wreszcie: czas do domu...
Wychodzicie roziskrzeni,
I mąż trzyma cię pod ramię.

A ja, czarny, na ulicy
Kombinuję, kombinuję:
„Jeśli w czwartek list wysłałem,
To już mogła być odpowiedź“...
— — — — — — — — — —
Słuchaj — uderz męża w mordę
I wybiegnij w noc pod gwiazdy,

Pomyśl o mnie, przedstaw sobie
Mnie, strasznego chłopca z Łodzi!

Bo ja krzyczę tam z tęsknoty
I wytężam senne oczy,
I zgarbiony, siedzę, piszę,
Piszę groźny list do ciebie!

Ja nie wiem jak to było. Czy w drganiu świec
półjasnem,
Czy w mrok, ku przerażeniu zdrętwiałych nagich
ścian,
Lecz groźne niebo wtedy wisiało nad tem miastem,
Podarte, pobluzgane, jak krwią z morderczych
ran.

Stalowy łoskot walił po szynach tramwajami,
Kołami, kopytami po bruku turkot tłukł,
I dwa miljony ludzi ruszały ulicami,
Jak z lufy, tłumem strzelał przecznicy każdy róg.

A ostre, białe blaski nerwowo dygotały
W drucikach rozpalonych, w matowych kloszach
lamp,
Splątąły się kierunki i wir i aut sygnały...
Jak film, zdyszanem tempem skandował miejski
jamb.

O, gdzieś Ty się zgubiła w tej ciżbie, w tym
rozgwarze?
Jakiemi ulicami i w której sukni szłaś?
Oczyma cię goniły te wszystkie obce twarze
I ja, i ja, daleki, twój rozpłakany paź.

Oczyma cię goniły te wszystkie twarze obce,
Krzyczały Tobie: nie chodź! Krzyczały Tobie: nie!!
Zawarło sojusz Miasto z dalekim śmiesznym
chłopcem
I wrzaskiem, trzaskiem, blaskiem smagało kroki
twe!

Ty szłaś, ty szłaś, młodziutka, złotawa, falująca,
W wieczorze roztapiałaś fiołkowy z lęku wzrok,
Targała miastem wściekłość gorąca, kotłująca
I przestrzeń z bólu wyła, do krwi ją darł twój krok.

Jak myśl o aksamicie, jak cień jedwabnej sukni,
Płynęłaś bezpamiętna, za krokiem krok twój nikł,
I tylko coś dzwoniło, dzwoniło coraz smutniej:
Z daleka tak, zdaleka mój święty dzwonił krzyk!

Całowałem usta Twoje, całowałem je w ciemności, w czarnym aksamicie miłosnej nocy... Całowałem usta Twoje i wyczuwałem wargami czerwień ich...

W białych, gorących oplotach Twoich zamknąłem oczy. Zamknięte oczy widzą nieskończoność, ogromną, ogromną dal... Chwile stały się melodją, w rytm której tańczyła purpura i czerń, niby dwa szale jedwabne, wiewne, gasnące... tańczyły daleko, w nieskończoności oczu zamkniętych...

A potem była mroźna noc, jasno-niebieska cicha noc zimowa. Szedłem — lekko upojony, jakby odurzony błękitnym aromatycznym likierem, zaprawionym brylantową kroplą mroźnej, mlecznej jaśni księżycowej, która kapnęła do smukłego kieliszka, opalizując i skrząc się fantastycznie...

I idąc tak naprzód w upojeniu, przymyka-

łem oczy i znów widziałem daleki gasnący taniec... Byłem tak nieziemsko szczęśliwy, że uczułem, iż staję się czemś bezcielesnem i płynę jak światło... Uczucie to było tak rzeczywiste, że, poślizgnąwszy się, miałem wrażenie, że się potknąłem o cień gałęzi, zwieszającej się z za parkanu ogrodu...

A teraz usnę — z uśmiechem szczęścia na zmęczonych wargach... szepcących słodkie Twoje imię. Dobranoc!

Te banalne walce kawiarniane
Urastają w tragiczne psalmodje!
Myśli moje, tańczące, pijane,
Ciebie w smętne wplatają melodje.

O, jak wyją te straszne walczyki,
Jak cię szarpią, wplecioną w męczarnię!
Oczy moje, jak ostre okrzyki,
Przeszywają gorącą kawiarnię!

Pięścią walę! Kurcz ściska mi palce!
Spazm tęsknoty (—o, przyjdź!—) w gardle duszę!
I te głupie kawiarniane walce
Rozpinają mi na krzyżu duszę!

Potem konam przy Tobie, kochance,
Co z tortury tych walców mnie wzywa,
Aż nas wreszcie, przy którejś-tam szklance,
Czarny sen, czarny wicher porywa.

W sierpniowy cichy zmierzch
Fryzjer czesał żonę.
Melodjami na dłonie opadły
Włosy znużone.

Złoty jedwabny deszcz
Przez palce spłynął do ziemi,
Fryzjer-wizjoner krzyczał
Oczyma zakochanemi!

On widział ogromną dal,
Gnał triumfalnym pędem,
Na strzępy gniewnie darł
Mgły złote mojej legendy.

Wysoko podniósł pięść
I krzykiem ostrym Cię sławił!
(Szukałem ciebie w mgłach,
Cios jego twarz mi skrwawił!)

A potem krwawą dłoń
Zanurzył w złote rozploty
I grał na włosach pieśń
I święty był
I płakał z mojej tęsknoty!

W dzień jest wietrznie, słonecznie
i wrześniowo złociście
Nocą wiatr ociemniały suche przewraca liście.

Wiatr śpiewak swe tęsknodje zawodzi triste, triste,
O, polonezy żalu — szelestne, posuwiste!

Czasem w szyby uderzy rozpaczliwym porywem,
Jęknie w ramie okiennej przypomnieniem
tęskliwem:

„Rozsyp, rozsyp się liśćmi złocistemi po ziemi,
Ja tak proszę, tak płaczę pod oknami twojemi".

Ja go słuchać nie mogę, gdy tak błaga i płacze,
Bo mi bledniesz, bo serce rozdzwonione ci skacze.

Słyszysz? słyszysz? znów szlocha, za oknami
znów wzdycha,

Nie, nie wyjdziesz, zostaniesz... On tam przykląkł, tam czyha...

Runę w noc jego ślepą, w jego płacz uprzykrzony,
Nożem w ciemność uderzę — i nóż będzie skrwawiony!

Klękam, rozwieram ramiona na Twoje przyjęcie: głowę wtył odrzucam, przymykam oczy i rozchylam usta... Słyszę szelest... już idziesz... dolatuje mnie upojny zapach ciała ciepłego... promienie oczu Twoich muskają mnie po twarzy... Przeczuwam... wiem: to będzie pocałunek wieczny, pocałunek Sfinksa z obrazu Stucka. Na piersi swej poczuję Ciebie, Kobieto. A kiedy przylgniesz do mnie — rozedmę, wyprężę pierś, aby się stała granitem i stalą: toć będę Ziemię dźwigał — Ciebie, święta glebo Miłości!

Już utonęłv wargi nasze w sobie... Wsparłaś się o mnie, Wieczna!...

— I rozdwoiła się na mnie Ziemia w krągłe, sprężyste, żywotne piersi Twoje...

Z niewiadomego rozkazu nagle wyciągam
ramię, by objąć świat:
I obejmuję Twą kibić — życiem uderza silnie
w tętnicach krew!
Szybko oddycham z radości, cieszy mnie
mocnych piersi dojrzały sad
I prężne, owocne biodra, pełne, krągłe, jak
trzony wiosennych drzew.

Urodna, rodna, miłosna, wkwitniesz w oploty
moje na żądny zew!
Przyjmiesz mnie w siebie z triumfem, krwią
zakotłuje w sercach gwałtowny szał.
W śródbiedrze, siejby spragnione, tryśnie
wyczekiwany żywotny siew!
I mnie i Tobie pochwała! Pochwała sprawie
dwojga tworzących ciał.

Wybuduję tobie dom zielony,
Dom zielony, bielony, brzozowy,
Do połowy winem ocieniony,
Malowany słońcem do połowy.

A w tym leśnym, w tym drzewnym kościele
Będzie kwitnąć twoje białe żeństwo,
Tam sprawimy wesołe wesele,
Odprawimy drzewne nabożeństwo.

Ledwo błyśnie i zapachnie ranek
Rosą, miętą, ptakami, oskołą,
Rozgłaskana wyśmiejesz na ganek
I zawołasz daleko, wesoło!

Do rozpuku odśmieję się w borze
I przybiegnę zadyszany w goście
I szeroko ramiona otworzę
Dwojgu piersi w owocnym rozroście.

Będę z ziemi rósł wygałęziony,
Jeden z tobą, jak drzewne rodzeństwo,
I w gałęzie twych ramion wpleciony,
Wrosnę, wrosnę w twoje białe żeństwo!

Ojczyzną moją jest Bóg,
Duch, Syn i Ojciec wszechświata.
Na każdej z moich dróg
Ku Niemu dusza ulata.

Ojczyzną moją jest łan,
Łan Polski, prostej, serdecznej.
Niech mi pozwoli Pan
W nim znaleść spoczynek wieczny.

Ojczyzną moją jest dom,
Kochany dom rodzicielski,
Przytułek cichym snom
Młodości sielskiej-anielskiej.

Patrzę, strudzony śród dróg,
W oczu twych błękit przeczysty,
I jest w nim wszystko: i Bóg,
I Polska i dom ojczysty.

Mais, vrai, j'ai trop pleuré!
Rimbaud

Zmęczony burz szaleństwem, jak statek pijany,
Już niczego nie pragnę, jeno wielkiej ciszy
I kogoś, kto zrozumie mój żal nienazwany,
Kogoś, kto mą bezsłowną tęsknotę usłyszy;

Kogoś, kto jasną duszą życie mi przepoi,
Iżbym w spokoju bożym wypoczął po męce,
Kogoś, kto rozszalałe serce uspokoi,
Kładąc na moje oczy miłosierne ręce.

Idę po szczęście swoje. Po ciszę. Do kogo?
Którędy? Ach, jak ślepiec! Zwyczajnie —
przed siebie...
I wiem, że zawsze trafię, którą pójdę drogą,
Bo wszystkie drogi moje prowadzą do Ciebie.

SPIS RZECZY:

Książka ta zawiera wybór wierszy, pisanych w okresie lat 1912—1921. Niektóre z nich były już drukowane w „Czyhaniu na Boga“ i „Sokratesie tańczącym“

Wiersze, oznaczone w spisie rzeczy gwiazdką ukazują się w druku po raz pierwszy